Zeszyt 21. Lwów dnia 30. Lipca 1879. **Rok I.**

STRZECHA OJCZYSTA

PISMO DLA RODZIN POLSKICH.

PRENUMERATA kwartalnie 1 złr. 50 ct. = 3 mark. | WYCHODZI dnia 10go, 20go i 30go każdego miesiąca. | W. MANIECKI Wydawca i odpowiedz. za Redakcją

Prenumeratę i inseraty przyjmuje księgarnia F. H. Richtera. plac Marjacki. hotel europejski.

Złamane Serca.

Powieść

PRZEZ AUTORA „CHORÓB GALICJI.“

(C. d.) Po zastawieniu ostatniej swojej sukni, pan Wybicki przyszedłszy do domu, stanął przed szafą, w której wisiały sukienki Wandzi. Wyjął jedną, a trzymając ją w ręku długo stał bez ruchu na środku pokoju. Potem dwie łzy jak groch duże stoczyły mu się po bladych policzkach, westchnął głęboko, sukienkę raz i drugi pocałował, powiesił na dawnem miejscu i szafę zamknął.

— Nie! — szepnął — choćbym z głodu umierał, nie dopuszczę się tego świętokradztwa!

Wieczorem tego dnia dr. Czudek nie przyszedł i dobrze zrobił. Nie było ani herbaty ani bułeczek. Nawet nafty zabrakło, skutkiem czego wcześniej niż zwykle musieli udać się na spoczynek. Rano Wandzia dodnia się zerwała i do kuchni wybiegla. Jakież było jej zdziwienie, gdy tu zastała kawę gorącą, śmietankę i świeże bułeczki.

— A to zkąd Franiu? — sługę zapytała.

— Kupiłam za moje pieniądze, bo panienka zapomniała mi wczoraj „wydać do miasta.“ Ale to nic nie szkodzi pannunciu... Ja mam kilka papierków złożonych... z nich będę wydawała, a potem panienka razem mi odda.

I mówiąc to kilka razy pocałowała Wandzię w rękę. Dziewica zarumieniła się, łzy jej się zakręciły, pogłaskała Franię po rumianych policzkach i wróciła do pokoju. Ojciec już nie spał; wzdychał, przewracał się niespokojnie i cichym głosem wezwał córkę by przyszła do niego.

— Co ci jest ojcze? — zapytała przerażona.

— Nic złego, moje dziecię... nie czuję się jednak całkiem dobrze i muszę w łóżku zostać. Jak wyjdziesz przeniosę się do twego pokoju.

Córka chciała coś przemówić, lecz jej w tem sługa przeszkodziła, za którą do pokoju wszedł listonosz.

— Czy jest pan Stanisław Wybicki? — zapytał nowo przybyły.

— Jestem — odrzekł gospodarz na ręce się wspierając.

Listonosz podał rewers do podpisu, potem wręczył choremu list z pięciu pieczęciami. Za rewers należało się kilka centów, których nie miał ani ojciec, ani córka. Domyśliła się tego Franusia. Ciągnąc listonosza za rękaw rzekła:

— Chodź pan do kuchni! U mnie są drobne pieniądze.

Listonosz skłonił się i wyszedł. Pan Wybicki wpatrywał się ciągle w list, który w ręku trzymał.

— Nie rozumiem — mówił do siebie — nie rozumiem... List z pieniądzmi do mnie... Od kogo? — Podniósł głowę, myślał i znów rzekł: — Zaiste nie rozumiem... Wandziu! rozpieczętuj.

Rozerwała kowertę. Na stół wypadł banknot na 100 guldenów. Listu żadnego nie było. Wandzia obejrzała kowertę uważnie, to samo ojciec uczynił, nigdzie ani listu, ani karteczki najmniejszej. Spojrzeli po sobie okiem zdumionem. Pan Wybicki jeszcze przypatrywał się adresowi i pieczęci pocztowej. Charakter pisma był mu obcy, list pochodził z miasta. Wandzia zaczęła także oglądać. Zagadka pozostała zagadką.

— Cóż ty na to Wandziu? — zapytał ojciec.

— Doprawdy nie wiem co myśleć...

— A ja wiem moje dziecię... W nasze biedne progi zawitał dobroczyńca nieproszony.

— Jak to rozumiesz, ojcze?

— Chciałem powiedzieć, że dr. Czudek, pragnąc zabawić się we wspaniałomyślnego, zrobił nam niespodziankę, która nam ubliża.

— Dr. Czudek! — zawołała Wandzia. — Chyba go nie znasz, ojcze! Czyż ten człowiek byłby zdolnym do dobrodziejstwa cichego? Przenigdy! Jeżli by co uczynił, z pewnością uczynił by tak, by o tem cały świat wiedział. Nie, ojcze kochany, on nie jest tak szlachetnym. Te pieniądze pochodzą od człowieka zacnego.

— Od kogo zatem?

W pierwszej chwili chciała odpowiedzieć: od Juljana Rossowskiego; ale się wstrzymała. Przecie Rossowski byłby wpierw ich odwidził, i dopiero dowiedziawszy się od kogo o ich nędzy, odważyłby się na krok taki. Zresztą nie był jeszcze we Lwowie. Wandzia dobrze to wiedziała... Frania codzień wieczorem biegała do pałacyku pana Czarkowskiego, gdzie ze starym Wojciechem swobodnie rozmawiała. Wandzia nie chcąc więcej adwokata pytać o Juljana, musiała wpaść na ten pomysł, który okazał się dobrym, wiadomości bowiem były całkiem pewne, a i Frania była uszczęśliwiona, że mogła tak dalekie robić wycieczki. Ona tak lubiła biegać!

— Od kogoż zatem może być ten list, właściwie te pieniądze? — ojciec znowu zapytał.

— Nie wiem — odrzekła córka.

— A jak ci się zdaje, cośmy powinni z niemi uczynić?

Wandzia ociągała się z odpowiedzią.

— No powiedz, powiedz moje dziecię — ojciec napierał.

— Odesłać...

— Otóż to loika kobieca! Komu odesłać, kiedy nie wiemy od kogo pochodzą?

— Komukolwiek... dość że ich przyjąć nie możemy.

— O tak, tak moja córko! — zawołał starzec rozrzewniony. — Widzę że jesteś mojem dzieckiem. My jałmużny przyjąć nie możemy. Raczej umrzeć, niż się poniżyć! Mężczyźnie mogącemu jeszcze pracować nie wolno ręki wyciągnąć po jałmużnę, bo się schańbi!.. Dziewica, która się jałmużny dotknie, sprzeda się na zawsze! O tak, moje dziecię! Jeżeli Bóg tego żąda, z głodu pomrzemy, ale się nie spodlimy!

Wandzia z głośnym płaczem, w którym była radość nie żal, padła przed ojcem na kolana, tuląc głowę w poduszki. On ją całował i błogosławił.

W pół godziny później, Frania biegła z listem do prezydenta miasta. W liście donosił p. Wybicki, że ponieważ od osoby nieznajomej otrzymał 100 guldenów, do których nie ma prawa najmniejszego, więc poczytuje sobie za obowiązek rzeczone pieniądze posłać panu prezydentowi z prośbą, by je rozdzielił między ubogich miasta Lwowa.

XI.

Od tego dnia pan Wybicki z łóżka nie wstawał. Na pozór nie był chory, lecz czuł się tak zmęczonym, obolałym, że się nie mógł podźwignąć. Apetyt także go opuścił, czem jeszcze najmniej się martwił. Wśród nędzy dobry apetyt jest nieszczęściem. Nie możemy atoli powiedzieć by nędza stanęła już przed nimi w całej grozie. Pożywienia dotąd nie brakło, pomieszkanie było zapłacone, a i chory miał codzień łyżkę świeżego rosołu. Zkąd pieniądze?... Czy od Frani? Ofiary sługi Wandzia nie przyjęła, ale jak niegdyś ojciec przed nią w tajemnicy, chociaż wszystkiego się domyślała, tak teraz ona w sekrecie przed ojcem, oddawała żydówce, która mieszkała w tym samym domu na dole, najpierw swoje sukienki letnie, potem i cieplejsze, zimowe. Tak rozpoczyna się w mieście każda nędza.

W domu wyglądało jeszcze wszystko jak dawniej. W pokoikach te same meble, na ścianach te same obrazki, nawet w czystości i porządku nic się nie zmieniło Ktokolwiek by tu wszedł, ani by przypuścił, jak czarna chmura wisiała nad mieszkańcami tych pokoików. A jednak znalazł się człowiek, który zdawał się wszystkiego domyślać. Był nim dr. Czudek. Ilekroć przyszedł, a przychodził często jak dawniej i bez miłosierdzia wypijał z rzędu po trzy szklanki herbaty, którą bardzo słodził, rozglądał się w koło, jakby szukał czy czego nie brakuje, robił miny dwuznaczne, skarżył się na zimno i ciężkie czasy. Że dr. Czudek wiedział co się dzieje u jego znajomych, wcale się nie dziwimy, faktor bowiem jego znał dobrze żydówkę, u której Wandzia suknie zastawiała — i jeżeli nas co zadziwia, to brak w jego piersi wszelkich instynktów ludzkich. Sam był niegdyś nędzarzem, a biednych nie żałował, przeciwnie chętnie pastwił się nad nimi. W tym atoli wypadku, jego znęcanie się nie było przynajmniej bez celu.

Dowiedziawszy się z rozmów z panem Wybickim, że on i brat jego Ludwik posiadają jeszcze w Radomskiem dość duży majątek, który może będzie ocalony, albowiem hrabina L. jak o tem pan Ludwik donosił, miała w ostatnich czasach objawić chęć zaspokojenia długów i objęcia Pilawic we własny zarząd; wybadawszy następnie, że Wybiccy pochodzą z rodziny senatorskiej, spokrewnionej z pierwszemi domami w Polsce; widząc nakoniec, że teraźniejsze położenie ojca i córki jest rozpaczliwe — dr. Czudek osądził, że małżeństwo z panną Wandą nie było by dla niego najgorsze, i jeźli kiedy to teraz nadeszła chwila działania stanowczego. Przygotował się więc jak umiał, ubrał się staranniej niż zwykle, wstrzyknął sobie trochę morfium na drogę i pełen nadziei wyjechał jednokonnemi saneczkami pod wysoki Zamek.

Ojciec spał w drugim pokoju — córka siedząc w pierwszym książkę czytała. W takich wypadkach Wandzia zostawiała drzwi otwarte do kuchni, po której jak wrzeciono Frania się kręciła. Chociaż po angielsku wychowana, stosując się w tem więcej do zwyczajów polskich, nie chciała sam na sam z mężczyzną przesiadywać.

Adwokat był bardzo uprzejmym, troskliwie wypytywał się o zdrowie panny Wandzi i „papy dobrodzieja“, kilka razy westchnął i oczami zawrócił, a gdy osądził, że dostatecznie wszystko przygotował, głosem cichym i niby wzruszonym oświadczył się o jej rękę. Wandzia spojrzała na niego i o mało głośnym śmiechem nie wybuchła; dr. Czudek nie widział tego... z oczyma skromnie ku ziemi spuszczonemi odpowiedzi oczekiwał. Nie namyślając się długo, dziewica odpowiedziała mu spokojnie a poważnie, że jakkolwiek wybór „pana mecenasa“ bardzo jej pochlebia, nie może uczynić zadość jego życzeniu, ponieważ właśnie teraz, wolno jej myśleć o wszystkiem innem, tylko nie o małżeństwie. Dra. Czudka nie zadziwiła ta odprawa; jako adwokat wszystko on zawsze przypuszczał, i przygotowywał się na najgorsze. Zamiast się więc obrazić, wyjść i więcej nie wrócić, poprosił ją słodziutko by się „namyśleć“ raczyła i „papie dobrodziejowi“ gdy się zbudzi „łaskawie“ całą rzecz opowiedziała. On tak był pewny ostatecznego zwycięztwa, tak wierzył, że choćby Wandzia sama była temu małżeństwu przeciwną, ojciec przez wzgląd na rozpaczliwe swoje położenie zmusi ją do niego, że odchodząc żegnał się jak zwykle i przyrzekał wkrótce znowu ich odwidzić.

O takim bezwstydzie Wandzia nie miała wyobrażenia. Nawet sobie nie przypominała, by kiedy w jakim romansie spotkała się z taką postacią. To było coś, co przechodziło ludzkie granice. Wierzyła, że sam szatan byłby więcej rycerskim. Że adwokat nosił się z zamiarami co do jej osoby, tego domyśliła się, odkąd coraz częściej zaczął bywać w ich domu — wszakże zdawało jej się, że zimną grzecznością potrafi go utrzymać w przyzwoitem oddaleniu. Gdy to zawiodło, cieszyła się nadzieją, że po odmowie więcej się u nich nie pokaże. Tymczasem i to skutku nie odniosło. Odtrąciła zuchwalca — a on zamiast ją pożegnać na wieki, powiedział słodko: do widzenia!

— Zaiste! — zawołała gniewnie, gdy adwokat już był na dole — do tego tylko Czudek jest zdolnym!

W godzinę po tej scenie ojciec się przebudził. Córka widząc, że swobodniej patrzy i zdrowszym się czuje, usiadła przy łóżku, aby mu opowiedzieć oświadczyny adwokata.

Chory wysłuchawszy zapytał:

— I cóż ty na to Wandziu?

— Powiedziałam mu, by się gdzieindziej udał ze swoją propozycją.

— Więc go nie kochasz?

— Ja? — zawołała córka. — Jak możesz ojczulku pytać o to? Alboż sam nie wiesz?

Pan Wybycki dalej mówił:

— Rozważ jednak dziecię jak smutne jest twoje położenie. Jam nie tyle stary, co sterany... ja się boję, że na kawałek chleba nie zdołam więcej zapracować. A choćbym i mógł, mnie już nie długo na tym świecie. Rozważ więc dziecię, czy nie postępujesz zbyt lekkomyślnie odtrącając człowieka, który niedałby ci może miłości i szczęścia wielkiego, ale w najgorszym nawet razie zapewniłby ci egzystencję.

Na słowa ojca, Wandzia pierwszy raz w życiu gorzko się uśmiechnęła.

— Więc dla egzystencji, dla kawałka chleba miałażbym ojcze zabijać w sobie to, z czego po dziś dzień dumną byłam i co ty, drogi ojcze uszlachetniałeś we mnie od lat najmłodszych — moje serce? I jażbym miała przysięgać miłość człowiekowi, którym pogardzam? O nie ojcze! — dodała dumnie głowę podnosząc — do takiej zbrodni ja nie jestem zdolną!

Ojciec przypatrywał się jej z uwielbieniem.

— A jeżeli zostaniemy bez dachu i chleba — pytał dalej spokój udając — jeżeli wszystko nas zawiedzie i ja dla ciebie zapracować nie potrafię, co wtedy?

— Wtedy mój ojcze pójdę w służbę, nie ulęknę się żadnej pracy i uczciwie tyle zarobię, że żyć będziemy. O! ja się nie poniżę, ja się nie sprzedam, choćbyś nawet żądał tego odemnie ty, mój ojcze!

Cudownie teraz wyglądała. W oku był ogień — od czoła bił odblask niezwykły — nozdrza lekko się wzdęły, policzki zarumieniły i usta do pół rozwarły. Skończenie była piękną w tem uniesieniu i gniewie. Pierwszy dopiero raz w życiu ojciec widział ją taką i znalazł godną siebie. Gdy mówić przestała, ujął ją za rękę, przyciągnął do siebie, posadził obok łóżka i żartując tak odpowiedział:

— Otóż to loika kobieca! Przed trzema dniami nie przyjąłem sto guldenów, które nam przysłał nieznajomy dobroczyńca, a dziś przypuszczasz, że mógłbym cię namawiać do poślubienia tego Czudka zabawnego. I niech tu kto powie, że kobieta ma loikę! Ależ Wandziu, przed laty dwudziestu kilku ja tak samo postąpiłem! Dawano mi fortunę z osobą, która mi była obojętną, wolałem twoją matkę biedną, bo ją kochałem. I nie żałowałem nigdy, nigdy moja córko! Mimo walki, zawodów, nieszczęść, szliśmy przez świat spokojnie, miłość bowiem dodawała nam sił i otuchy. Gdyby dziś twoja matka żyła, lepiejby

nam się wiodło. Odkąd umarła, straciłem ster, który mnie przeprowadzał szczęśliwie przez życia głębinę. Nie, Wandziu! jabym ciebie nigdy na to nie namawiał, co sam za grzech uważam, a jeżelim ci zadawał pytania, których nie zrozumiałaś, to jedynie dla tego, żem cię chciał wybadać. Widzisz filutko, żem cię złapał! Ale nie dziwota, kobieta nie umie myśleć loicznie.

Rozśmiała się Wandzia, chcąc tem ojcu sprawić przyjemność, choć na wspomnienie matki łzy jej w oczach stanęły, uśmiechnął się ojciec i resztę wieczoru spędzili żartując sobie z dra. Czudka.

Gdy córka szła na spoczynek, ojciec pocałował ją w czoło mówiąc:

— Za to żeś dobrą córką i zacną dziewicą, Bóg ci da męża, godnego ciebie.

Zapłoniona pochyliła się, by ojca rękę ucałować.... W myśli stanął jej Julian.

XII.

Kamień rzucony po górze spadzistej, nie zatrzymuje się w połowie drogi; leci z początku wolno, potem coraz szybciej, póki nie utonie na dnie przepaści. Gdy nędza zawita do mieszkania tych, których sobie na pastwę wybrała, przyciska ich do swego łona z początku lekko, potem coraz namiętniej, póki ich nie udusi. Szczęście w swoim pochodzie zatrzymuje się przed lada trudnością i czembądź zniechęcone porzuca swoich wybrańców; przeciwnie nieszczęście nie zrażone żadnemi przeszkodami, stoi wytrwale przy tych, których ukochało i nie ma zaklęcia, którem by je można zmusić do odwrotu.

Do ubożuchnego mieszkanka naszych przyjaciół nie zawitał promień słońca lepszego. Niedostatek zamiast się zmniejszać, jeszcze się zwiększał. Sukienki Wandzi przeniosły się do kufrów żydowskich, z jej klejnocików ani jeden nie został i nie długo trwało, a miała już tylko to, co na sobie. Jej obawy byłyby jednak mniejsze, gdyby ojciec był zdrów zupełnie: wespół byliby może nie jedno omówili i złemu zapobiegli, tymczasem ojcu zamiast się polepszyć, z każdym dniem się pogarszało. Z początku chory o lekarzu ani dał sobie mówić, ale gdy po niejakim czasie zaczął czuć się gorzej, pozwolił wezwać lekarza miejskiego, który gdy przyszedł, bardzo rozumnie liczył uderzenia pulsu, przyczem patrzał na zegarek, a jeszcze rozumniej głową kręcił. Ojciec i córka byliby woleli, gdyby zamiast tego, był co rozumnego powiedział, on jednak poprzestał na tajemniczem oświadczeniu, że choroba jeszcze się nie „zdeklarowała“, a więc nie można wiedzieć, jaką jest właściwie. Dopóki zaś to nie nastąpi, o jej leczeniu mowy być nie może.

Dr. Czudek, który otrzymawszy kosza od Wandzi, na znak żałoby, całe dwa dni się nie pokazał, przyszedł dopiero dnia trzeciego, i jakby nic, pytał znowu o „łaskawe zdroweczko“ panny Wandzi i „papy dobrodzieja“. Jako dobry taktyk, który uważa, by podczas walki żołnierze nie zmarnowali zaraz na początku całej amunicji, nie zapytał natychmiast, co pan Wybicki powiedział na jego oświadczyny, lecz postanowił jeszcze czekać spokojnie, dopóki nędza ostatecznie jego ofiar nie złamie. Gdy lekarz miejski powiedziawszy ni to ni owo, wyszedł z pokoju, dr. Czudek, który był temu obecny, przyrzekł nazajutrz przysłać znakomitego medyka, a swojego przyjaciela, dr. Ragnera, czemu Wandzia wcale się nie sprzeciwiła. Owszem była nawet wdzięczną adwokatowi, że chciał pomódz jej ojcu. Jak długo o niej tylko myślał, był jej wstrętnym i byłaby go może nawet nienawidziła, gdyby w ogóle jej dusza szlachetna mogła kogo nienawidzieć — ale odkąd zaczął mówić o jej ojcu i zajmować się jego zdrowiem, patrzyła już na niego prawie jak na człowieka sympatycznego.

Dr. Ragner przyszedł, a zbadawszy stan chorego, oświadczył, że jest to zaniedbana febra gastryczna, która każdej chwili może się w tyfus przemienić. Odchodząc, zapisał lekarstwo, które miało kosztować 2 guldeny. Dr. Ragner należał do tych lekarzy, którzy trzymając się z aptekarzami za ręce, zapisują umyślnie kosztowne lekarstwa, by od nich otrzymywać zato stosowne wynagrodzenie. Prócz tego na recepcie zawsze dodawał adres apteki, w której lekarstwo miało być robione. W tym wypadku, może i jeszcze inne pobudki wpłynęły na niego, że tak drogie lekarstwo zapisał. Zostając z drem. Czudkiem w bardzo ścisłych stosunkach, musiał zbadać jego zamiary, a jako człowiek sprytny prędko się domyślił, że przyjacielowi najlepiej dopomoże, jeżeli pana Wybickiego zniszczy jak najprędzej.

Wandzia dowiedziawszy się, ile trzeba będzie za lekarstwo zapłacić, a mając w kasie ostatniego guldena, za ostatnią sukienkę, którą żydówce przed kilku dniami w zastaw oddała, rozpaczliwie ręce załamała. Mimo woli nieugiętej, czuła, że z pod nóg wszystko jej się usuwa, że idzie w drogę ciemną bez wyjścia, którą lękała się poznać. Pierwszy to raz dopiero bała się przyszłości. Z oczami, w których łez było pełno, klęczała w pierwszym pokoju i modliła się długo. Tymczasem Frania, która w kuferku miała zawsze kilka guldenów, pobiegła do apteki, a odebrawszy lekarstwo wróciła do domu i zaraz je choremu zaniosła. Wandzia ciągle jeszcze klęczała — ciągle się modliła.

Nazajutrz przyszedł listonosz z listem, w którym jak pierwszym razem było znowu sto guldenów. Wandzia list rozpieczętowała, gdyż był adresowany nie do ojca, lecz do niej. Wewnątrz prócz pieniędzy nie było ani jednego słowa.

Zdumiona wydarzeniem, które w czasie tak krótkim po dwakroć się powtórzyło, zaczęła uważnie przypatrywać się pismu na adresie. Im bardziej wzrok swój zatapiała w pojedyncze litery, które dość nieforemnie stały obok siebie, jakby ktoś umyślnie starał się zmienić charakter swojej ręki, tem silniej utwierdzała się w przekonaniu, że zna to pismo, że je gdzieś widziała. Wszakże mimo wielkiego naprężenia umysłu, nie mogła sobie przypomnieć, czyja by to była ręka; wspomnienie bowiem było w jej pamięci niejasne, zamglone, jak sen niewyraźny, a dawno prześniony. (C. d. n.)

ŻÓŁTA RÓŻA.

NOWELLA Z FRANCUZKIEGO PRZEZ HALINĘ.

(C. d.) Młodzi ludzie poszli razem do pokoju pana Simart. Gdy usłyszał o powodach nagłego odjazdu przyszłego zięcia do Paryża, poczciwiec nie bardzo temu dowierzając w głowę się poskrobał mocno zafrasowany:

— Powiedźcie no prawdę — rzekł, serdecznie obu przyjaciół za ręce ściskając. — Ta śmierć wuja jakoś bardzo nagle przychodzi.

— Jak każdy atak apoplektyczny — wtrącił Françis.

— Tak, zapewne... Ale bo mi coś wspominała pani Regnauld... Jakaś sprzeczka między Melanją a Teissier'em. Czyż byś Hektorku gniewał się tak długo o taką bagatelkę?

— Piękna mi bagatelka! — mruknął Teissier, lecz urwał natychmiast, wstrzymany groźnym wzrokiem przyjaciela.

— Bo to widzisz, panie kochany, — prawił dalej tatuś poczciwy, zwróciwszy się do Dramond'a — takie z nich jeszcze dzieciaki, że aż strach! No! przyznaję, żem może rozpieścił Meluncię — ale to złote serduszko, anioł nie dziewczyna! Czasem, czasem... trochę żywa, trochę się uniesie... ale bo i pański przyjaciel gorączka! jak mi Bóg miły! impetyk! No! no! mężczyzna takim być powinien! nie pozwolić babiętom grać sobie po nosie, ja to rozumiem!.. A przecież mówię ci, kochają się jak dwie turkaweczki. Zwyczajnie, jak to mówią „kto się czubi, ten się lubi". — Tu na cały głos się roześmiał — No! no! Ot! dzieciństwo, nie warto i myśleć o tem! a tem bardziej pamiętać. Chodźmy do salonu, tam zgodę zrobimy.

I ujął pod ramię Teissier'a, który już był gotów iść za nim. Françis uznał za potrzebne interweniować.

— Mogę panu dobrodziejowi zaręczyć, że Hektor ani myśli więcej o całem zajściu po obiednem. Zanadto jest przejęty wydarzeniem tak smutnem.

— A więc to nie bajka, aby mię zdurzyć?

— Bajka! — zawołał Dramond patetycznie, udając obrażonego. — Ja to sam przywiozłem Hektorowi tę smutną wiadomość, nie chciałem jednak udzielić mu jej przed obiadem, wiedząc, iż będzie miał jeszcze dość czasu odjechać wieczorem do Paryża.

— Pan Marjolier! hm! hm! przecież znam go doskonale. Wysoki, chudy, jeszcze prawie chudszy, niźli mój siostrzeniec Regnauld. Zkąd u djabła wzięła się u takiego śledziennika apopleksja? Ja to co innego! Nademną toć wisi to choróbsko ot tak, na cienkim włosku panie kochany. Z moją facjatą jak ćwik czerwoną, z krótką a grubą szyją... Oj! tak, tak, kwiknę lada dzień, aż się zakurzy!

— Pan dobrodziej daruje, lecz muszę przeciw temu zaprotestować — odrzekł Françis ze słodkim, uspokajającym uśmiechem. — Uczyłem się z amatorstwa medycyny i wiem, że jest to błędnem mniemaniem, wprawdzie ogólnie przyjętem, które jednak jest nie mniej grubą omyłką, że apopleksja wybiera swoje ofiary li między ludźmi temperamentu krwistego, dobrej tuszy, o szyi krótkiej. Prawie częściej jeszcze podpadają tejże natury flegmiste, żółciowe, jak pana Marjolier... Ale dajmy pokój tym wywodom. Może w tej chwili zacny, najlepszy pan Marjolier kona wśród rabusiów wyciągających chciwe szpony po jego pieniążki. Pomyśl pan — tu nachylił się figlarz do ucha pana Simart, jakby oszczędzając przykrości czułemu sercu Teissier'a — że Hektor jest jego najbliższym spadkobiercą; majątek po większej części w kapitałach, a pan Marjolier ma przy sobie aż dwóch aniołów stróżów, za ręce się trzymających; długoletnią gospodynię i spowiednika Jezuitę!

— Dwie plagi zamiast jednej! — krzyknął pan Simart za głowę się chwytając. Françis wiedział czem go pokona, dla tego podsunął mu zręcznie myśl o Jezuicie. Pan Simart cierpiał na istotny księżo-, a bardziej jeszcze na Jezuitowstręt.

— Spowiednik Jezuita i stara kochanka! — wołał dalej — tu nie ma żartów. Jedź Hektorku, jedź natychmiast! Z temi czarnemi sutannami trzeba się mieć na ostrożności. Ho! ho! to ptaszki nie lada! Znam ja się na nich. Pamiętam, pamiętam Marjolier'a, kawałek starego, zdziecinniałego bigota. Umysł słaby, głowa tępa, zawsze mi krytykował „National'a" to dość powiedzieć. Jedź, jedź! nie ma chwili do stracenia. Gotów stary dziwak Jezuitom majątek zostawić! To by pięknie było!

Hektor znowu nie ruszał się z miejsca, błądząc wzrokiem po pokoju jakby nieprzytomny. Françis uszczęśliwiony, iż tak gładko wyprowadził w pole pana Simart, struchlał widząc swego przyjaciela w tym stanie zupełnego niezdecydowania. Porwał go czemprędzej pod ramię, a uprowadzając prawie przemocą, zwrócił się jeszcze grzecznie w stronę gospodarza.

— Powrócimy jak będziemy mogli najprędzej, skoro interesa uporządkujemy, a pozbędziemy się starych bab i czarnych kruków, które zwykle w koło umierających krążyć lubią. Pozwalam sobie uważać się i nadal za zaproszonego — dodał z niskim ukłonem.

Pan Simart zdawał się nad czemś namyślać.

— Wiesz pan co, zróbmy lepiej! — tu porwał w swoje objęcia Françis'a i uścisnął jak starego znajomego, z całą serdecznością i dobrodusznością, właściwą jego charakterowi. — Żeby mi dowieść, że ten nagły odjazd nie jest żadnym podstępem, by mię starego wróbla, jak to mówią, „na plewę złapać", pan, którego nic tak gwałtownie nie wzywa do Paryża, zostań z nami. Jako drużba i przyjaciel Hektora, należysz prawie do familji, więc nic w tem nie

będzie nadzwyczajnego. Zatrzymamy pana jako zakładnika aż do jego powrotu. Cóż? Zgoda?

— Ależ najchętniej! — odparł Françis z taką gotowością, iż prawie na radość zakrawała. Przytem aż w ramię ucałował serdecznego gospodarza.

— Wszystko więc szczęśliwie ułożyłem. Rubicon za nami! — odezwał się Françis do przyjaciela, tonem zadowolenia wewnętrznego — znalazłszy się z nim sam na sam. Widzisz jak mi gładko poszło?

Teissier nie zdawał się jednakże tak bardzo uszczęśliwionym.

— Słuchaj no! — rzekł sucho. — O tem przecie mowy nie było. Mnie wyprawiasz, a sam zostajesz, to rzecz szczególna!

— Jeżeli ci to nie miłem, jadę z tobą natychmiast — odparł Françis niedbale. — Przyjąłem zaprosiny poczciwego pana Simart, jedynie przez wzgląd na ciebie. Czyż nie mówiłeś, że dałbyś wiele, gdyby kto inny za ciebie zerwanie ostateczne przeprowadził? Zostałem więc jako twój pełnomocnik. Skoro inaczej się namyśliłeś, ustępuję z pola najchętniej. Załatwianie spraw tego rodzaju nie należy do najprzyjemniejszych.

— Zapewne, masz słuszność, tak będzie najlepiej — bąknął Teissier pod nosem, strachem przejęty na myśl osobistej rozprawy z papą Simart. — Zostań więc i staraj się wszystko jak najlepiej i o ile się da najdelikatniej zakończyć. Nie chciałbym dotknąć tego najzacniejszego człowieka.

— Więc mam twoje pełnomocnictwo?

— Najzupełniejsze. Bez żadnych obostrzeń.

Panna Simart męczyła teraz fortepian i bębniła po nim niemiłosiernie, tak, że w całym domu słychać było tę muzykę piekielną. Zmęczyła się wreszcie, a usłyszawszy, że narzeczony myśli odjeżdżać, uciekła ze salonu i zamknęła się u siebie, by go wcale nie pożegnać. Zły humor jeszcze nie był przeszedł. Tak więc Teissier odjechał nie widząc jej wcale. Françis do stacji go odprowadził i wyprawił szczęśliwie.

Gdy wracał napowrót do domu, w którym mieszkała Melanja, czuł się tak lekkim, swobodnym, że aż jemu samemu dziwnem się to wydało. Wytłumaczył sobie to uczucie zadowoleniem, iż spełnił dobry uczynek, ratując przyjaciela od zguby oczywistej.

— Nie straciłem dnia — mówił sobie z dumą, która musiała niegdyś rysować się na czole Tytusa cesarza rzymskiego, tego pierwszego na świecie filantropa. Wszak mawiał ów pan potężny, że tylko ten dzień uważa za znaleziony, gdy kogoś uszczęśliwi, a nie zniszczy i zamorduje, jak to inni cesarze rzymscy praktykowali. Françis uważał się także za ducha opiekuńczego Teissier'a, który ratując go od wielkiego niebezpieczeństwa, zrobił go jednocześnie szczęśliwym.

— Z jednej strony wybawiłem przyjaciela z kłopotu i przeszkodziłem mu palnąć głupstwo, które byłby po niewczasie całe życie opłakiwał; z drugiej oszczędziłem honor młodej dziewczyny, która może się jeszcze poprawić. Pochodzi z tak zacnej rodziny i taka piękna! Dla tego samego trzeba mieć wzgląd dla niej.

Poświęcenie jest w ogóle rzadkiem zjawiskiem, lecz poświęcenie się dla kogoś całkiem bezinteresownie nie zgadza się zupełnie z naturą ludzką. Mimowoli człowiek popełniwszy jakiś dobry uczynek, zwraca się myślą ku nagrodzie, mającej go za to spotkać. Françis był tylko człowiekiem, nie bronił się też wcale przeciwko tej myśli:

— Zasłużyłem przecie na dni kilka przyjemnie spędzonych. Dlaczegoż nie mam ich tu przepędzić? Paryż teraz nudny, wyludniony, a wieś tyle ma powabów! Zresztą od chwili, jak Melanja przestała być narzeczoną mojego przyjaciela, mogę w niej widzieć jedynie owe domino czarujące, za którem biegałem po całym Paryżu nadaremnie. Dlaczegoż nie miałbym prowadzić dalej intrygi, która zaczęła się w sposób tak niezwykły i romantyczny?

Uspiwszy sumienie tym rozumowaniem cokolwiek sofistycznem, Françis wrócił do domu pana Simart z okiem promieniejącem, z uśmiechem na ustach. Najpierw chciał sobie ująć dom cały, to też był dla wszystkich uprzedzającym. Przed panem Simart unosił się nad zasługami „National'a“, mówił o wielkiem zadaniu Gwardji narodowej, o tyranji rządów, o uciemiężeniu narodów, podstępności księży i t. p. Gospodarz był nim zachwycony; pana Regnauld, który był rodzajem niedoszłego adwokata, bawił rozmaitemi ciekawemi procesami, o których bądź słyszał, bądź w bujnej wyobraźni wykomponował. Starej ciotce, zamiłowanej w Babopatji i leczącej na gwałt świat cały, prawił o receptach i sławnych kuracjach; pięknej blondynce, właścicielce pierścienia ze szmaragdem i oczu sentymentalnych, cytował ustępy z nowszych dramatów i romansów, których czytaniu oddawała się z zapałem. Z Melanją zaś śpiewał przez cały wieczór duety, posiadał głos tenorowy, nader piękny i wcale wyrobiony, z którym głos mezzo sopranowy Melanji łączył się prześlicznie.

Przez dni kilka Françis studjował wytrwale młodą dziewicę, z interesem coraz wzrastającym. Jej piękność niezwykła czarowała go i upajała, jej głos cudny, dźwięczny, rzewny, budził w sercu uczucie tak nowe a tak słodkie, o jakiem nie miał dotąd wyobrażenia. Jednak pozostała dla niego zagadką. Kolejno była ona swobodną i nieopatrzną jak dziecko, lub zamyśloną jak dojrzała kobieta; rano roztrzepana, wieczór pełna melancholji; dziś zalotna i wesoła do szaleństwa, jutro zimna i poważna, zmienniejsza niżeli fale morskie, nieuchwytna jak światło błyskawicy, jedna z tych istot, których boi się jak ognia mieszczanin, przed któremi klęka w zachwycie artysta. Mimo bystrego na świat poglądu i doświadczenia nabytego w licznych stosunkach z płcią piękną, Françis dotąd jej nie rozumiał.

— Aniołem jest czy szatanem? — serce jego raz po raz pytało, a ta niepewność coraz go więcej dręczyła, prawie nie do zniesienia.

Trzy dni po odjeździe Teissier'a siedzieli we trójkę w małym kiosku w chińskim guście, który znajdował się na końcu ogrodu. Pani Regnauld i Melanja haftowały; u ich nóg na niskim taburecie siedział Françis i czytał czułą i romantyczną historję „Indjany“, jednej ze sławnych bohaterek pani George-Sand. Czytał zwykle z bardzo piękną deklamacją, tym razem wywiązywał się

szkaradnie z zadania. Przekręcał wyrazy, nie uważał na przecinki i punkta, przewracał po dwie kartki na raz, jednem słowem kaleczył niemiłosiernie prześliczną prozę pani Sand, patrząc częściej w piękne oczy Melanji, niż na książkę, którą w rękach trzymał. Panna Simart z oczyma w robotę utkwionemi, zdawała się nieuważać pomyłek czytającego. Może i ona więcej słuchała dźwięku jego głosu, niżeli szła za książki frazesami, a może była wybaczliwą, bo wiedziała dobrze dla czego jest tak roztargnionym. Pani Regnauld bądź drażliwsza pod tym względem od Melanji, bądź mająca mniej powodów do wybaczliwości w tym przypadku, przerwała wreszcie głośnym śmiechem jakiś ustęp, w którym Françis zdawał się tak rozmiłowanym, że go z rzędu po raz trzeci powtarzał.

— Przyznam się panu — zagadała, — że ani słowa nie rozumiem z tego, co nam czytasz. Masz bo szczególny system czytania! Zwykle patrzy się w książkę, którą się czyta, a pan błądzisz wzrokiem zupełnie gdzie indziej.

— Na gorącym uczynku mnie złapała, źle — pomyślał Françis książkę zamykając. — Dziś jeszcze powie Melanji, a jutro obie ze mnie drwić będą.

— Ciemno się robi, wróćmy do domu — rzekła Melanja i prędko się zerwała, robotę do koszyczka składając, jakby się bała dalszych przycinków kuzynki, w której oczkach przymrużonych tkwiły szpileczki dowcipu złośliwego.

— Masz słuszność — Hortensja odrzuciła — chodźmy do salonu trochę pomuzykować. Może pan Dramond raczy mieć więcej względów dla Donizettego i Rossiniego, niżeli miał dla arcydzieła pani George-Sand.

Aby czem prędzej przerwać potok słów złośliwej kuzynki, Melanja w pół ją porwała i uniosła w tempie szalonej galopady, wzdłuż alei do domu prowadzącej.

Françis pogonił okiem za dwiema sylfidami. Patrzał i podziwiał w szczególności Melanję, która płynęła po zwirze, jakby po szklistej posadzce, prawie ziemi nie dotykając, z gracją nie do opisania. Gdy mu znikły z oczów, powstał także i długo chodził tam i napowrót, nie zbliżając się do domu. Był zadumany głęboko, a nawet przydarzyło mu się westchnąć ciężko razy kilka. Symptom to wielce zatrważający u człowieka, który był pierwszym lwem salonów paryskich, postrachem mężów, ideałem kobiet szukających odmiany, niezbędny przy każdem śniadaniu lub kolacyjce kawalerskiej.

— Ta niepewność mnie zabija — szepnął — tak dalej żyć nie mogę! Ona jest albo aniołem niewinności, lub kobietą najprzewrotniejszą, którą kiedy spotkałem. W pierwszym razie moje wątpliwości są dla niej obelgą — w drugim jestem przez nią niegodnie oszukiwanym. Ten bal Opery z myśli mi nie wychodzi i zatruwa całą przyjemność, której mógłbym używać, patrząc tylko na tę cudną istotę. Trzeba raz skończyć z tą zmorą, która trapi mnie w dzień i w nocy.

Dramond wchodząc do salonu, zastał tamże całą rodzinę zgromadzoną. Trzeba przyznać, że oprócz pana Simart, który czasem wspomniał o nim, nikt jakoś nie tęsknił za towarzystwem Teissier'a; co do Melanji ta była jakby odrodzona, jakby jej ciężar spadł z serca po zniknięciu narzeczonego. I teraz zasiadłszy z kuzynką do fortepianu, grała z werwą nieporównaną kadryle na cztery ręce z najnowszej, ulubionej opery. Stara ciotka z panem Regnauld grali partję Pikiety, a pan Simart, pogrążony w głębokościach miękkiego fotelu, przytupywał nogą z zadowoleniem.

— Nie bierze pana ochota potańczyć przy tej pięknej, wesołej muzyce? — zagadnął Françisa wchodzącego.

— Nie lubię tańczyć — odrzekł tenże z melancholją właściwą zakochanym.

Słysząc to straszne w jej przekonaniu bluźnierstwo, Melanja opuściła ręce bezwładnie na klawiaturę i wypatrzyła się na Françisa z przerażeniem. O wiele mniej podobał jej się w tej chwili, niżeli poprzednio.

— Jeżeli pan tańcu nie lubisz — rzekła tonem pełnym zwątpienia — cóż będziesz na miły Bóg kochał na tym świecie?

— Ciebie! — o mało Françis nie wykrzyknął, zdradzając serca tajemnicę. W czas jednak się zatrzymał, siłą woli stłumił zbytnie wzruszenie, a skorzystał w lot ze sposobności, która wydała mu się doskonałą do wyświecenia owej bytności na balu Opery.

— Źlem się wyraził — prędko odrzucił — nie lubię balów prywatnych, gdzie zwykle bywa więcej osób, niżeli miejsca i gdzie prawie wyłącznie tańczy się kadryle nudno i poważnie, jakby się było na pogrzebie nie na balu. Nie rozumiem tańcu bez szału pewnego, który upaja i roznamiętnia, a czyż w naszych towarzystwach zimno-konwencjonalnych wolno komukolwiek puścić wodze fantazji? Aby uczuć całą rozkosz tańcu, trzeba rzucić się w wir szalony walca lub galopady na balu publicznym, na balu Opery....

— Tak! — szepnęła Melanja ze śliczną minką nadąsaną, usteczka pogardliwie odymając. — Kiedy na balach Opery porządnym osobom tańczyć nie wolno.

Oczy Françis'a obejmowały w tej chwili całą postać dzieweczki z niepokojem gorączkowym, jakby chciały dotrzeć do dna jej serca. Ona słuchała naiwnie, z ciekawością dziecka o tym owocu zakazanym, wlepiwszy wzrok w mówiącego bez cieniu pomięszania.

— Tańczyć nie wolno? — powtórzył Françis machinalnie, gdyż nie śmiał zadać pytania bezpośredniego co do tej nieszczęsnej bytności na balu Opery.

— Nieprawdaż Hortensjo? — zwróciła się do pani Regnauld. — Gdyśmy były tej zimy na balu Opery, cały ten czas przesiedziałyśmy w loży. Nikt z kobiet porządnych nie tańczył. Tak nudno było! Co mi to za bal! — tu Françis'a zagadnęła z żywością sobie właściwą. — Wszak i pan tego samego zdania? Co mi to za bal, na którym tańczyć nie można!

Françis odetchnął całą piersią. Doznał w tej chwili uczucia człowieka nad przepaścią zawieszonego. Już, już ostatnia gałązka słaba, wiotka, rwie mu się w rękach mdlejących, w tem czuje jak silne ramiona ratują go z tej otchłani bezdennej i przenoszą na miejsce bezpieczne. Tak mu się zrobiło jasno przed oczyma, tak błogo w duszy, jak gdyby nie na ten sam świat patrzył, który go przed chwilą otaczał. I on mógł posądzać tę czystość, tę nie-

winność! Jakąż zbrodnią wydały mu się obecnie jego dawniejsze wątpliwości! Zakochani lubią atoli przechodzić walki podobne. Im więcej czuł się winnym w obec niej, czyż nie powinien za to kochać jej tem goręciej? A to mu tak łatwo przychodziło. Nie mógł pojąć, że kiedyś żył, istniał, nie kochając Melanji. Rysy jego zajaśniały takiem szczęściem, że Melanja spotkawszy się z jego wzrokiem płomienistym, pierwszy raz w życiu oczka spuściła, te orle oczy, które dotąd gotowe były słońce nawet wyzwać do walki, kto kogo przetrzyma, a śliczną twarzyczkę zalał rumieniec szkarłatny, wywołany także po raz pierwszy nie gniewem, lecz nagłem ściśnieniem w serduszku, jakby jej tchu w piersiach brakło, — uczuciem pomięszania i wstydu dziewiczego. Melanja kochała...

— Opowiedz panu Dramond waszą sławną wycieczkę na bal Opery. Ręczę, że go to serdecznie ubawi — zawołał pan Regnauld, od kart się wcale nie odrywając.

Françis uczuł dla długiego poczciwca przyjaźń gwałtowną. Uznał, że ma umysł nader wykształcony, dużo bystrości, gotów był nawet w tej chwili dopatrzeć włosów na jego łysej jak kolano czaszce. taką wdzięcznością serce jego dla pana Regnauld zapałało. Przeciw swemu zwyczajowi panna Simart zdawała się co raz bardziej pomięszana. Milczała, oczka jeszcze niżej spuściła i bezwiednie po klawiszach przebierała paluszkami. Pani Regnauld zatem — której bystrej uwadze nic nie uszło, a tem mniej potęgująca się z każdą chwilą namiętna miłość Dramond'a — głos zabrała, ku młodemu człowiekowi się zwróciwszy.

— Musiałeś już pan zauważać — rozpoczęła opowiadanie tonem jak zwykle sarkastycznym — że jak tu wszyscy się znajdujemy, jesteśmy najniżsi słudzy i podnóżki tej oto panienki — ręką wskazała Melanję. — Rządzi nami despotycznie. Jej fantazje są prawami, jej kaprysy wyrocznią. Tak niestety ojciec ją wychował, a nasza słabość dopomogła ostatecznie, by ta wzorowa edukacja udała się najzupełniej. Ostrzegam pana, że jest wszechwładną monarchinią. Ani się spostrzeżesz kiedy cię zagarnie pod swoje berło — idźmy atoli dalej. Można sobie łatwo wyobrazić, jak szalone pomysły tworzy taka główka ośmnastoletnia, gdy wie, że przywilejem dziecka popsutego i rozpieszczonego otrzyma wszystko, czego zażąda. Między innemi szaleństwami ułożyła sobie tej zimy pójść koniecznie na bal publiczny, i wiesz pan dokąd nas chciała zaprowadzić? Do sali Musard'a!

— Jak Boga kocham prawda! — zaśmiał się na cały głos papa Simart, aż mu się brzuszek trząsł potężny. — Ta mała figlarka rwała się gwałtem na bal do Musard'a! Cha! cha! cha! to był nie lada ambaras. Cóż ty na to panie Françis?

— Ja mówię, że aniołom wolno bez niebezpieczeństwa zstąpić nawet w piekieł czeluście! — zawołał Françis z rycerskim zapałem.

Poczciwy p. Simart znalazł ten frazes bardzo pięknym, chociaż go dobrze nie zrozumiał — Melanji jeszcze wydał się piękniejszym, może dla tego, że go aż nadto dobrze zrozumiała i oceniła.

— Co do mnie, ponieważ nie mam żadnej pretensji być aniołem! — pani Regnauld wymówiła to słowo z ironicznym patosem — uważałam ten projekt za nader ryzykowny. Ale jak tu Melanji czego odmówić? Musiałam wreszcie kapitulować i czułam się nader szczęśliwą, iż udało mi się podsunąć jej bal Opery, zamiast owego strasznego balu w sali Musard'a, którym widziałam się zagrożoną. Tak więc wybraliśmy się we trójkę...

— We trójkę — przerwał Dramond pełen niepokoju. — Był kto z paniami?

— Same przecie pójść nie mogłyśmy. Co też panu w głowie? Był z nami ma się rozumieć mój pan małżonek, którego całe zachowanie tego wieczora było oburzające! Najprzód pod pozorem wielkiej ciżby, ani razu nie pozwolił nam się przejść po sali, tylko nas od razu do loży zapakował, a sam nie bojąc się wcale tłumu, zniknął w sali, aby się dać maseczkom intrygować, a nas zostawił same jedne prawie przez cały wieczór, czem naraził nas na najgłupsze awantury.

— Jakto? Na awantury? — wtrącił Françis udając zdziwienie.

— Ależ tak! Dwóch ludzi pijanych nas napadło i ci nas zmusili do ucieczki z loży.

Melanja przerwała kuzynce.

— Pierwszy nie był wcale pijany. Rozmawiał z nami dość długo, bardzo przyzwoicie. Sama przecie mówiłaś, że bardzo przyjemny i mimo nosa przyprawnego, ma oczy wyraziste, usta pełne, ładnie wykrojone a zęby ślicznej białości....

— Hm! hm! Coś moja pani bardzo się temu kawalerowi przypatrywała? — mruknął pod nosem pan Regnauld — a nic mi nie mówiłaś o tych głębokich spostrzeżeniach.

Françis tymczasem rzucił okiem w zwierciadło i z pewnem zadowoleniem przypatrywał się swoim czarnym oczom, pełnym, koralowym ustom i białym jak kość słoniowa zębom.

Pan Simart, który lubiał, jak to wyżej powiedzieliśmy, wcześnie iść spać a późno wstawać, niedługo dał hasło do rozejścia. Ujrzawszy się w swoim pokoju, Dramond oddał się cały błogiemu uczuciu miłości prawdziwej. Teraz wiedział już doskonale, że ta, którą po raz pierwszy w życiu z takim zapałem i tak szczerze pokochał, jest wprawdzie dzieckiem trochę popsutem, ale nie mniej rozkoszną, lubą, anielską istotą! Śnił o niej noc całą i dopiero rano pierzchły te obrazy czarowne, które jego bujna wyobraźnia wytwarzała, gdy wszedł do pokoju Mikołaj, który niósł mu list z poczty.

— Od Teissier'a — mruknął niecierpliwie. — Co u licha może chcieć odemnie ten bałwan?

„Drogi przyjacielu!" — pisał do swego powiernika przyszły a niedoszły zięć pana Simart. — „Przez cztery dni z rzędu czekam nadaremnie listu od ciebie, przez cztery dni posyłam do twojego pomieszkania. Ani piszesz, ani powracasz. Nie wiem co myśleć o twojem tak uporczywem milczeniu i tak długiej niebytności. Pocieszam się jednak, iż nie miałeś dotąd dobrej sposobności, aby pomówić z panem Simart w sprawie drażliwej, którą ci poleciłem i dla tego nic mi o niej nie donosisz. Przez cztery dni zastanawiałem się nad tą kwestją głęboko i przyszedłem do

przekonania, że istotnie byłoby szaleństwem zrywać małżeństwo tak dla mnie korzystne, dla dzieciństwa, bagatelki, jak słusznie pan Simart zauważał. Cóż znowu było tak zdrożnego w zachowaniu się Melanji? Nawet i to podniesienie ręki najpewniej fałszywie pojęliśmy. Melanja gdy mówi, rusza żywo rękami w ogóle, tem bardziej gdy jest podrażnioną! A gdyby nawet na prawdę chciała mnie uderzyć, to jedynie przez zbyt dobre serce. Ja tak brutalnie obszedłem się z Solimanem, a ona tak to odczuła! Biedne dziecko! Dotąd stoi mi w oczach jej śliczna twarzyczka łzami zalana. W końcu więcej niż ona zawiniłem. Ją tłumaczy wiek prawie dziecięcy, ja i tej nie mam wymówki. Jest trochę kapryśna i popędliwa, alež i ja byłem zbyt drażliwym a nie dość czułym dla tego aniołka. Daj więc pokój wszelkim zrywaniom, nawiąż na nowo nitki zupełnego między nami porozumienia — wiem, że ci to przyjdzie z łatwością. Czyż nie miałem próbki dostatecznej twojej wymowy i talentów dyplomatycznych? Panu Simart oświadcz, że mój wuj zdrowszy i za dwa dni będę mógł powrócić, pani Regnauld oddaj moje najgłębsze uszanowanie, ślicznej Meluńci zaś powiedz....“

— Idź do djabła! — krzyknął Françis w pasji najwyższej i zmiął list w ręku, nawet go do końca nie odczytawszy. — Jeżeli go Melanja kocha, o czem bardzo wątpię, nie potrzebuje przy niej adwokata; jeżeli istotnie go nie cierpi, co mu przy mnie kategorycznie powiedziała, miałbym na sumieniu biedne, nieopatrzne dziecko, gdybym jednem słowem pomógł do tego małżeństwa. To nie jest mąż dla niej, byłaby z nim najnieszczęśliwszą. Zresztą opuścił dobrowolnie stanowisko, tem gorzej dla niego. „Kto z oczu, ten i z serca“. Myślałem, że się zdecydował na dobre zerwać to małżeństwo, wszak mię po to tu zostawił. Miałem więc wszelkie prawo pokochać Melanję, a jeżeli mię ona kocha nawzajem, nikt mi jej wydrzeć nie potrafi! „Każden dla siebie, a Bóg dla wszystkich!“

Tą sentencją zakończywszy swoje rozumowanie, nie robił sobie więcej najmniejszych skrupułów co do ról zamiany i podstawienia swojej osoby na miejsce Teissier'a. Miłość gorąca głuszyła u niego głos sumienia. Wobec niej czemże jest przyjaźń? Bańką mydlaną, którą niszczy jeden podmuch miłości. Mógł zresztą zawsze odwołać się na własne słowa Melanji, że Teissier'a nienawidzi. Więc niech sobie samemu przypisze winę pan Teissier, iż nie umiał na jej miłość zasłużyć.

Udzieliwszy sobie naprzód całkowite rozgrzeszenie, postanowił działać szybko w tej sprawie. List Teissier'a dodał mu jeszcze bodźca, zamiast wstrzymać w czemkolwiek. Czuł, że niema chwili do stracenia, aby popsuć do reszty szyki i powrót zagrodzić przyjacielowi.

Po obiedzie prosił panią Regnauld o chwilkę rozmowy na osobności tonem nadzwyczaj poważnym. Młoda blondynka przyzwoliła z tym samym uśmiechem sarkastycznym, który prawie zawsze na jej ustach osiadał, gdy patrzyła lub mówiła do Dramond'a. Bez żadnego wstępu przystąpił do rzeczy.

— Wszak nie potrzebuję mówić pani, że kocham do szaleństwa jej kuzynkę, bo wiesz o tem doskonale.

— Pan? Melanję? Ani mi się przyśniło! — odparła Hortensja, udając wielkie zdziwienie.

— Wiesz pani o tem, jestem tego pewny. Jeżeli pani umiesz czytać tajemnicę serca w oczach cudzych, toć i ja mam w tem wprawy cokolwiek, szczególniej co do płci pięknej. Oto com w twoich oczach wyczytał. Najprzód, że Teissier wcale ci się nie podobał, i że to małżeństwo nie miało nigdy twego przyzwolenia... Na wszystko cię pani błagam, nie przerywaj, nie zaprzeczaj i pozwól mi dokończyć. Ja panią właśnie uwielbiam za ten brak sympatji dla niego. Domyślność kobieca bywa w tym względzie nieomylną. Tak pani. Twoja kuzynka byłaby z Teissier'em najnieszczęśliwszą! Osądziłaś go najsprawiedliwiej. Czy moja osoba potrafi uzyskać sąd łaskawszy? Kocham Melanję... Daruj mi pani tę poufałość, wiesz dobrze, że miłość nie zna innych tytułów, prócz imienia własnego istoty ukochanej — kocham więc Melanję całą duszą, mówić jej jednak wprost o mej miłości nie śmiałem. Tak jest jeszcze naiwną, dziecinną. Czułem, że byłoby to błędem z mojej strony, chociaż mam chęć szaloną błąd ten popełnić. Jedynie wstrzymała mię w pół drogi myśl o serdecznej gościnności, którą tu doznałem. Czyż nie byłoby to jej praw nadużyciem? Szanowna ciocia musiała dawno zapomnieć jak miłość wyglądała, gdy była młodą, pan Simart wątpię, by kiedy to uczucie rozumiał, a pan Regnauld, chociaż żyje w warunkach najlepszych, by poznać i ocenić miłość, mając przy swym boku tejże uosobistnienie, wydaje mi się tak imponującym, że nie mam odwagi udać się do niego z mem wyznaniem. Widzisz więc pani, że tylko do ciebie jednej mogłem się udać z moją prośbą gorącą. O! powiedz, że mię rozumiesz, że się nie gniewasz za to szczere wyznanie, które może za prędko przychodzi i któremu braknie formułek, zwykle przez świat przyjętych. Prawdziwe uczucie nie umie dobierać wyrazów. Zostań moją najłaskawszą opiekunką. Rodzinę moją zna pan Simart doskonale, majątku mam więcej, niż pan Teissier, widzisz mię pani i pochlebiam sobie, iż potrafiłem całem mojem znalezieniem zasłużyć na trochę sympatji z twojej strony. Używałem cokolwiek młodości, toć każdy z nas robi tak samo, jeżeli nie jest skończonym niedołęgą; honor mój został jednak czystym, charakter nieskazitelnym, serce niezepsutem. Przysięgam ci pani, że uczynię Melanję szczęśliwą, że będę dla niej mężem najlepszym. Wszak ona Teissier'a nigdy nie kochała?

— Jak pan to wszystko ślicznie ułożyłeś! — rzekła pani Regnauld, tym razem na serjo, bez uśmiechu złośliwego. — Zapominasz pan atoli, że z mojem, czy bez mojego przyzwolenia, dzień ślubu Teissier'a z moją kuzynką już wyznaczony.

— To małżeństwo nie przyjdzie do skutku skoro pani tak zechcesz. Zresztą Teissier odjeżdżając nakazał mi zerwać wszelkie stosunki w jego imieniu. Odtąd wprawdzie zmienił zdanie — bo u niego zawsze, co dziś czarne jak smoła, jutro będzie jak śnieg białe — ja się trzymam

jednak pierwszej instrukcji. Chciał zerwania, więc zrywam i proszę panią o rękę jej kuzynki dla mnie samego.

— Rozumowanie doskonałe, trąci jednak cokolwiek jezuityzmem, powiedział by mój wujaszek, gdyby pana słyszał. Będę atoli równie jak pan szczerą i przyznam, że mi lepiej do gustu przypadłeś, niż mrukliwy i wiecznie niezdecydowany Teissier. Masz charakter otwarty, rozum bystry i serce nie złe o ile się zdaje, tylko nie bardzo wierne w przyjaźni. Spodziewam się, że w miłości stalszem będzie. Muszę uwzględnić pańskie trudne położenie i dla tego darowuję wspaniałomyślnie pewną nieprawidłowość pańskich oświadczyn. Jeżeli tylko da się co zrobić, chętnie panu dopomogę.

— Oh! pani, ileż wdzięczności będę ci winien!

— Dobrze, już dobrze — tu znowu dawny uśmiech złośliwo-sarkastyczny osiadł na jej ustach. — Mój mąż patrzy na nas od początku, a on nie bardzo lubi, by młodzi jak pan ludzie rozmawiali ze mną tak długo, a szczególniej z gestami tak czułemi.

— Jeszcze słóweczko! Jeżeli już jesteś pani tyle łaskawą i chcesz zostać moim aniołem opiekuńczym, bądź więc całkiem dobrą i pozwól wspomnieć Melanji o mojej dla niej miłości.

— O! co tego, to wcale nie pozwalam! — zawołała z żywością młoda kobieta. — Pański wzrok aż nadto był wczoraj wyrazisty. Czyż nie spiekła potężnego raczka? co jej się niezawodnie pierwszy raz w życiu przydarzyło...

— Więc się zarumieniła... jesteś pani tego pewną? — przerwał Françis uszczęśliwiony, całując z zapałem rączkę swojej pięknej opiekunki.

— Ależ mój mąż! — krzyknęła niby to z przerażeniem i rękę szybko mu wyrwała. Panu Regnauld ani się śniło śledzić ją oczyma, czytał najspokojniej gazetę; zdaje się jednak, że ten ognisty pocałunek, złożony na jej rączce przez pięknego chłopca, a nie pod jej własnym adresem, nie koniecznie jej się podobał. Po chwili dodała:

— Przecież nie zechcesz pan, by mój mąż pomyślał, że mnie osobiście nadskakujesz. Bądź więc rozsądnym, a pamiętaj Meluni nic o tem nie wspominać.

— Przynajmniej w obec pani! — błagał młody człowiek z rękami złożonemi.

— W mojej obecności... Ten człowiek ma na wszystko odpowiedź... Doprawdy! jestem za nadto dla pana pobłażliwą... Czegoż pan robisz znowu taką minę nieszczęśliwą? No to chodźmy już, chodźmy do kiosku. Właśnie widziałam Melanję tamże dążącą. Nie zakażę przecież panu z nią rozmawiać.

— I nie będę więcej czytał Indjany?

— Z pewnością! Za nadto źle się wywiązujesz z tego w jej obecności. Będę musiała przeczytać na nowo wszystkie rozdziały, tak niemiłosiernie przez pana pokaleczone. Gdy będę czytała, możesz pan bawić Melanję rozmową, przestrzegam jednak pana, że umiem słuchać czytając.

(C. d. n.)

Nawrócony.

(C. d.) Podczas gdym się przypatrywał obydwom paniom, Rudolf zdawał się skupiać całą uwagę na barona.

— Niegodziwiec! nędznik! — wykrzykiwał raz po raz tak głośno, że niemal obawiałem się by go nie usłyszano naprzeciwko. — Co za prawo ma ten potwór do tego najgodniejszego miłości anioła, jaki kiedykolwiek gościł na ziemi? Chciałbym go zdusić, rozszarpać!

Podniósł zaciśniętą pięść przeciwko przedmiotowi szczególniejszej nienawiści, jak niewolnik katowany przeciwko srogiemu dozorcy. Na twarzy jego malowało się wzburzenie, zanadto gwałtowne, aby mogło być skutecznem. Na szczęście ukrywały nas firanki, nie spostrzeżono nas zatem.

— Na miłość Boską! — rzekłem odstępując od okna. — Wrzeszczysz jak potępieniec! Trzeba było w swoim czasie o niej myśleć, zamiast pięknym Rzymiankom głowy zawracać, a byłbyś teraz beatus possidens, zaś biedny baron mógłby rozmyślać nad wami. Tak jak teraz stoją rzeczy, musisz się koniecznie poddać i chcąc nie chcąc przebaczyć temu, który szczęście twojego życia zagrabił.

— Tak sądzisz — odparł śmiejąc się Rudolf. — Jak widzę, mimo naszej długoletniej znajomości, masz tylko słabe pojęcie o mojej energji. Co raz sobie postanowię musi być dokonanem, choćby się przytem kula ziemska miała rozprysnąć. Zobacz tylko, zobacz jak wdzięcznie ten anioł przechyla się przez poręcz! Co za gracja, co za wdzięk niebiański! Muszę ją zdobyć, tak jak Bóg na niebie, choćby do niej droga wiodła przez piekło!

Nie odrzekłem nic. Stał w niemym zachwycie, pożerając ognistym wzrokiem ten zachwycający obraz.

— Pomóż mi choć rozważyć to wszystko — odezwał się po chwili — zdajesz się ciągle jeszcze zamiary moje za żart uważać.

— Mam nadzieję, że do jutra ochłodniesz nieco.

Roześmiał się pogardliwie.

— Masz nadzieję sceptyku? — ciągnął zwolna. — Tak, tak, wszyscy takiemi jesteście, wy, ludzie zwyczajni. Zawsze rozsądni, zawsze powściągliwi i filozofujący. Niech mnie Bóg skarze, jeżeli warci jesteście jednego naboju prochu!

— Zanadto jesteś grzeczny.

— Mam otwartą i uczciwą naturę! No raz jeszcze: chcesz mi dopomagać?

— Byłoby to bezowocnym trudem — odrzekłem wzruszając ramionami. — Nie znam żadnego środka, któryby natychmiast nie wzbudził podejrzenia.

— Żadnego? zastanów się dobrze! Powtarzam ci, że się przed żadną ofiarą nie cofnę.

— Wszystkie ofiary byłyby daremne. Zapory, które cię oddzielają od Edyty, są nie do przebycia.

Uderzył się pięścią w czoło.

— Że mi też nic do głowy nie przychodzi, — mruknął posępnie. — Widzę że z tobą nic już nie można poradzić.

Musiałem się roześmiać.

— Jeden bym środek wiedział — rzekłem — ale wątpię, czyby był dla ciebie przyjemnym... Obok tego jest on tak lekkomyślnym, że nawet człowiek twojego sposobu myślenia nie dałby mi go dokończyć.

— Mów! — zawołał z gwałtowną żywością. — Daję ci z góry słowo honoru, że każdy warunek przyjmuję....

— Nie graj tak lekkomyślnie z twojem słowem honoru, mógłbyś tego pożałować!

— Nie, nigdy! Daj już tylko pokój twoim przeklętym kazaniom i przystąp do rzeczy. Cóż mam czynić aby zostać szczęśliwym?

— Musiałbyś się ożenić z siostrą Edyty, z czerwoną Julją. Wtedy przestałbyś być podejrzanym i mógbyś....

Przerwał mi jeszcze gwałtowniej niż poprzednio.

— Cudownie! po mistrzowsku! Ale dla czego zaraz się żenić? Mógłbym się tylko zaręczyć....

— To nie wystarczy by pożądaną ufność rozbudzić.

— Masz słuszność! Uchodzę niestety za niesłychanego przewrotnika. Gotowi zwietrzyć prawdę i mój ukryty zamiar spełznie na niczem. Porzucić po kilku miesiącach taką pannę, jest to nawet dla pospolitszych odemnie ludzi drobnostką. Zresztą, chcę zawsze moją Edytę posiadać, kilkotygodniowa miłość mi nie wystarczy! a zatem pozostaję przy tem: ożenię się z Julją.

— Czyś oszalał? — zapytałem przestraszony, biorąc dotychczas to wszystko za żarty.

— Wcale nie! i możesz mnie ostatnim człowiekiem nazwać, jeżeli za cztery tygodnie nie będę szczęśliwym narzeczonym.

— Człowieku, straciłeś chyba rozum pod promieniami afrykańskiego słońca! A jeżeli panna Julja da ci odkosza?

— Eh tego nie uczyni.

— Jesteś tak pewnym zwycięstwa?

— Proszę cię, tego rodzaju dziewczyna! ruda czarownica, będzie Bogu dziękować, że ją zrządzenie losu w tak przyzwoity sposób od starego panieństwa ochroniło.

— Biedne stworzenie! Gdyby to przeczuć mogła! Wiesz co Rudolfie? ja ją przestrzegę, uważam to za obowiązek...

— Znasz ją bliżej? jesteś z nią spowinowacony, spokrewniony i t. d?

— Nie.

— A zatem nie wtrącaj się do moich interesów. Zastrzegam to sobie naprzód. Jeżeli chcesz mi dopomódz, dobrze, ale każde usiłowanie szkodzenia mi, uważać będę za krwawą zniewagę.

— W gruncie rzeczy masz słuszność. Rób co chcesz. Cóż pomoże wreszcie, że z tej strony nieszczęście zażegnam! Tymczasem gdzieindziej grzeszyć będziesz podwójnie.

—. Tak to rozumiem! Nie jesteś rzeczywiście filistrem, odwołuję moje zdanie. A teraz à propos, daj mi słowo honoru, że na serjo odstąpiłeś od wszelkiego przeciwdziałania.

— Dlaczego?

— Proszę cię o to. Muszę mieć pewność.

— Dobrze, masz moje słowo.

— Dziękuję ci! A teraz bądź zdrów. Czy przyjdziesz wieczorem pod „Następcę tronu.“

— Być może.

— I ja tam będę. Mam nadzieję, że zdam ci już sprawę z pierwszego powodzenia na polu działania.

— Czemu nie! Gdzie teraz idziesz?

— Na zaręczyny. Jeżeli się tylko da, czerwoną Julję jeszcze dziś zdobędę.

Wzruszając ramionami, spoglądałem za nim, poczem zagłębiłem się na nowo w tajemnice mojej greckiej mitologji. (C. d. n.)

RÓŻNOŚCI ZE ŚWIATA.

Sportsman na lądzie i morzu. Przed tygodniem utraciły Węgry jednego z swych najpopularniejszych ministrów i mężów stanu, barona Belę Wenkheima.

Jakkolwiek odegrał on w dzisiejszem politycznem przeobrażeniu się państwa Madjarów rolę wybitną, to jednak nie podejmujemy się tutaj skreślenia obrazu jego publicznej działalności.

Po części nie nasza to rzecz, po części przedmiot nie zajmujący dziś już tak żywo czytelników; Węgry mają obowiązek do patryjotycznej boleści nad zgonem Wenkheima, to też spełniły go z chlubą.

Tak w Peszcie, stolicy kraju, gdzie umarł, jak w Körös-Ladany, rodzinnym jego majątku, dokąd odprowadzono zwłoki nieboszczyka, ażeby je pomieścić we wspólnem mauzoleum rodu Wenkheimów. nieprzeliczone tłumy żałobne towarzyszyły pogrzebowemu konduktowi, a na czele, obok ministrów, izby deputowanych i t. d. postępował arcyksiążę Józef, tudzież przedstawiciel Cesarza, fmp. bar. Monde.

My pragniemy portret zmarłego ministra z innej ukazać strony. Była to bowiem postać w swoim rodzaju charakterystyczna; baron Bela to nowoczesny Nemrod w klasycznym stylu, prawie legendowy, a obok tego sportsman, jakich coraz mniej bywa...

Oto parę szczegółów z jego życia łowieckiego i kozaczego.

Od roku 1826 do końca 1872 położył baron Wenkheim z górą 20.000 sztuk zwierzyny trupem, w tej liczbie kóz dzikich i jeleni przeszło sto.

Od roku 1833 do końca 1872 wyjeżdżał on blisko tysiąc razy na łowy z nagonką, 61 razy na jelenie, 126 razy na lisy, a do 800 na zające,

W roku 1833 jako hoży młodzian podróżował po zachodniej Europie i bawił długo w Anglji, gdzie zarówno stosunki społeczne i parlamentarne, jak polowania na lisy żywo go zajmowały; wytrzymałość jego w najżmudniejszych wyprawach łowieckich ogólny budziła podziw.

Razu pewnego zacięty lis — godzien przejść do potomności — pędził za sobą całe towarzystwo strzelców przez parowy i jary, którym żaden z jeźdźców nie zdołał w końcu sprostać, pomimo znanej zimnej krwi Anglików.

Płoty i strumienie, przepaście i strome grzbiety utrudniały teren, prawie niezwalczony. I oto z całego towarzystwa jeden tylko baron Bela — chociaż siedm razy spadł z konia — dotarł lisa i zabił go... Innym razem uczestniczył on w polowaniu królewskiem na jelenie.

Miejsce łowów odległe było o 28 mil angielskich od Windsoru, a ponieważ baron mieszkał w Londynie, wyjechał o godzinie 7 z rana na koniu pół krwi angielskiej, przybył w porę na miejsce, dosiadł rumaka myśliwskiego („Walkefield“ było mu na imię) i wdał się niezwłocznie w pogoń za uciekającym jeleniem, pędząc go przez $5\frac{1}{2}$ godzin na przestrzeni 60 mil ang. i przebywszy parę razy wpław Tamizę. Zawsze był w pierwszym rzędzie i wytrwał tak do ostatka, pomimo że miał z górą 60 przeszkód do zwalczenia.

Tego samego dnia jeszcze o godzinie 11 wieczorem powrócił niezwalczony trudem do Londynu — od godziny 7 rano siedząc na siodle; ujechał więc dnia tego mil 150.

W roku 1835 przebył na 5 zmieniających się koniach w $9\frac{1}{2}$ godzinach przestrzeń pomiędzy Pesztem a Körös-Ladany, wynoszącą mil angielskich 120.

W roku 1843 z bratem swym Władysławem odbyli podróż nie mniej hazardowną: z Gyula do Hatzfeldu mil 70, na 4 koniach, w 6 godzinach, a ztąd do Ladany 100 mil, na 5 koniach, w 7 godzinach.

Wszystkie rumaki do takich wyścigów używane, pochodziły z jego własnej stajni; najlotniejszym z biegunów był sławetny „Domino“.

Wszystkie te jednak awantury sportsmańskie drobnostką były wobec harców, jakie wykonywał baron Bela na pustyni arabskiej w towarzystwie hrabiów: Jerzego Almasy i Ludwika Batthyany...

Przy 40^0 gorąca, każdy na jednym koniu, przebyli oni wzdłuż całą puszczę syryjską; napadnięci przez zbójeckich beduinów, pędzili bez wytchnienia 36 godzin.

Ale baron znosił po bohatersku nie tylko spiekotę południowego słońca — lodowce marznącej rzeki były dla jego odwagi równą igraszką.

Wypadek, który opowiemy, najżywsze obudza zajęcie, bo wszystko w nim charakterystyczne: i sam sport wodny i klasyczny przykład owego *point d'honneur*, którego wartość i znaczenie rycerskie zatraca się coraz bardziej.

W roku 1840 podczas zjazdu komitetowego w powiecie Bekes'kim, liczna drużyna gości bawiła w gościnnym zamku Wenkheimów w Gyula; pomiędzy nimi także brat zastępcy nadżupana, Józef A...

Rozpoczęta przy obiedzie dyskusja polityczna rozogniła się jeszcze mocniej przy czarnej kawie.

Baron Bela, podówczas jeszcze wiceżupan, twierdził z właściwą sobie stanowczością i naciskiem, że z młodością idą w koniecznej parze gorąca krew i płomienista odwaga, a z temi wolnomyślność przekonań.

Józef A... należący do innej partji politycznej, sądził inaczej, wskazując na siebie, że chociaż w podeszłych jest latach, ma tyle zapału i energji, co każdy młodzieniec — że młody podżupan nie zdołałby nic takiego wykonać, czegoby on za nim powtórzyć nie potrafił.

— A gdybym wskoczył do rzeki? — zagadnął Bela, wskazując na srebrzące się opodal nurty Körösu.

— To wskoczę za tobą! — odparł krewki interlokutor.

Baron Bela zrywa się na to z krzesła i pędzi wprost do rzeki o 30 sążni od pałacu odległej.

Józef A. za nim — reszta gości w osłupieniu oczekuje wypadków...

Nad brzegiem baron przystanął i rzecze do sędziwego współzawodnika:

— Widzę, że potrafiłbyś zdobyć się na to samo, co i ja, a dla ciebie jako dla człowieka w tych latach, mogłoby to być zabójczem, rzeka wielka i bystra... powróćmy...

Potrzeba zaś dodać, że działo się to w ostatnich dniach października, gdy Körös tworząca tutaj straszliwe wiry, pokrywała się już lodowemi płyty...

Ale gdy powrócili do sali, rzecze jeden ze współbiesiadników do Wenkheima:

— Aha! więc baron przestraszyleś się zimnej kąpieli?

— Co? ja przestraszyłem się? A więc założmy się o dziesięć guldenów, że przepłynę natychmiast Körös!

Jedna część gości poczęła śmiać się, inni pobledli z trwogi; takiej podróży żaden by z nich nie podjął się za krocie.

— Stoi zakład! — rzekł szyderca.

Baron Wenkheim zdjął bez namysłu tużurek i za minutę znajdował się na rwących falach Körösu, wołając spokojnie ze środka rzeki do przedrwiwającego sobie⁻zeń gościa:

— Łaczi! gotój moich dziesięć guldenów!

Laczi przeklinał teraz zakład, który mógł się zakończyć tragedją.

Ale za chwilę nieustraszony baron dopłynął szczęśliwie do przeciwnego brzegu, dokąd wysłano mu tymczasem wierzchnie odzienie, i nie dostał nawet kataru!

„Wakacje pana Beautendon.“ W teatrze Cluny w Paryżu, przedstawiają obecnie codziennie na teraźniejszą porę stosownie napisaną sztukę, w pięciu nie aktach, ale „stacjach“.

Pan Beautendon zrobiwszy duży majątek na handlu żelaznym, chce godnie użyć pieniędzy i jak to zwykli czynić inni bogacze, wybiera się z całym domem na letnią przejażdżkę. Zamiast, jak dotąd zwyczajem zamożnych mieszczan przepędzić letnią porę w Asniers albo Nogent sur Marne, jedzie po pańsku do Szwajcarji. Ale ten arystokratyczny wybryk nie przeszkadza mu być praktycznym człowiekiem, dlatego na czas podróży wynajmuje swoje mieszkanie jakimś bogatym Amerykanom, a sklep oddaje pod opiekę swego pierwszego subjekta, Anatola Jolivet, zakochanego w jego najstarszej córce Anieli, która równie jak dwie jej siostry, Celestyna i Gabryela i ich matka pani Pulcherja Beautendon, towarzyszą ojcu w podróży. Wyjazd całej rodziny to pierwsza stacja.

W drugiej znajdujemy naszych turystów na szczycie góry Montblanc. Aniela duma patrząc w obłoki, Celestyna i Gabryela słuchają romansowych galanterji dwóch młodych podróżnych, Leona Saint Galmier i Gastona de Champrosé; pani Pulcherja chciałaby zabrać się do przekąski, bo podróż na górę obudziła w niej natarczywy apetyt. Na nieszczęście pan Beautendon spada w przepaść razem z koszem, w którym znajdują się przygotowane na przewidziany wypadek rozmaite wiktuały. Przewodnicy przynoszą go zemdlonego. Gdy odzyskał zmysły dowiaduje się, że jego subjekt Jolivet, który niby za interesem sklepowym przyjechał za nimi, wykradł Anielę, a właściwie Aniela uciekła, zabrawszy z sobą zbyt nieśmiałego Joliveta.

W trzeciej stacji widzimy resztę rodziny w Saint Sebastian, gonią oni za Anielą i Anatolem. Pan i pani Beautendon przegrywają grube pieniądze w ruletę, i mąż, przez pomyłkę wzięty za jakiegoś ściganego szulera z profesji, zostaje zaresztowany przez hiszpańskich żandarmów, w chwili kiedy właśnie zabiera się gonić za Celestyną, uprowadzoną przez Leona Saint Galmier. Według wskazówek policji, młodzi zbiegowie udali się do Dieppe. Uwolniwszy się nareszcie z rąk hiszpańskich, dalejże pospiesznym pociągiem do Dieppe. To czwarta stacja. Tu nowe kłopoty i awantury niefortunnego ojca; trzecia córka, Gabryela w kąpielowym kostiumie, prosto z morza umknęła z Gustawem de Champrosé statkiem płynącym do Traport.

Z ściśniętem sercem i spuszczonemi na kwintę nosami, małżonkowie Beautendon wracają do Paryża, gdzie znajdują swoje mieszkanie zniszczone i wypróżnione przez owych bogatych Amerykanów, którzy z salonu zrobili sobie pralnię, a meble, zapewne dlatego, żeby się nie zniszczyły, wywieźli i przedali. Ale przynajmniej trzy zbiegłe córki wracają do domu i rodzice chociaż niechętnie, muszą zezwolić na potrójne małżeństwo. (Sceniczną tę farsę przedstawiano już parę razy z powodzeniem we Lwowie.)

Plon-plon. Książę Hieronim Bonaparte znany jest w całej Francji pod nazwą „Plon-plon“.

Dzienniki niemieckie wyjaśniają pochodzenie tego przezwiska naturalnie w sposób nieprzyjaźny Francuzom.

Książę Hieronim brał jak wiadomo czynny udział w kampanji krymskiej, gdzie przedewszystkiem nie celował męztwem.

W armji mówiono, że książę wszędzie węszy *plomb-plomb* (ołów) i dla tego pobyt mu tak nie służy.

Odtąd nazwa, pod którą dotąd jest światu znanym, weszła w ogólne używanie.

Dzienniki zaś bonapartystowskie twierdzą, że „Plon-plon“ pochodzi z czasów dziecinnych księcia, gdy pytany jak się nazywa nie mógł wymówić Napoleon, tylko „Plon-plon“.

Na Kulparkowie pytają jednego z chorych:

— Jakim sposobem pan się tu dostałeś?

— Większością głosów, panie!

— Jakto?

— Ja utrzymywałem, że wszyscy ludzie są warjatami, — a wszyscy powiedzieli, że ja jestem warjatem.

W drukarni narodowej W. Manieckiego przy ulicy Grodzickich l. 4.